

Dżonka 2008

Michał Murowaniecki, *punctum*, Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego,
Łódź 2008

śluz

miasto nie je witamin, ale łyka prochy.

rozsypane klocki, tego nie da się już złożyć
w logiczną całość. i tylko stary Marley potrafi
przeprowadzić nas przez rzekę; w bębenkach
chowają się ścieżki, tajemne rejestry.
z trawy wyrastają znaczenia. tutejszy smog
zna legendy, nie pozwala się otruć, rozkłada skrzydła
nad osiedlami. gubimy autostrady i wątek.

centralny zamek. pstryk. przepalamy świece
na niskim biegu. wycieraczka zlizuje owady
z szyby. spoglądam niepewnie na pobocza.
mijamy jakieś miejsca, gdzie spękane budynki
wywieszają pościel, jęczory. nie wiem, kto odgryza
rdzę z kaloryfera i kto tu włącza latarnie,
ale jest za późno, nawet dla muszek. długa szpilka
burzy z precyzją nakłuwła samochód.

sypie się karma.
na tarasach gołębie
ścierają miasto.

pensacola

Przemkowi Owczarkowi

obudzić nas może tylko Joan Osborne. ból pod sukienką
i w strunach. święta Teresa całuje ciężkie głowy,

łaskocze w uszy. przez zęby i sen mówię: cofnij!

to jest Polska, czujecie? między nami a światłem
rośnie jałowiec, milczenie. więc: jajecznicą na imbirze,
pijany bigos i skurczony listek mięty. na szklanym dnie
butelki suszy się robak, słucha porannych sonetów
młodego papieża. wyjedźmy wreszcie
na te wykopki – czesać ziemię palcami, przerzucać słomę.
pobawmy się w indiańskich pisarzy, podrobionych
szamanów bez pejotlu i tańca. tylko woda
ściągnie duchy na szpały.

otaczają nas okładki twardych książek, kobiety
wyświetlają się od rana. mezczał wypływa z ust
przy ziewaniu. znów leje – ziemniaki mają spokój.

świat przestawiony

dla Marty

stare miasto kończy się na pętłach. chodniki blakną
szybciej od fotografii. wysiadam w tym miejscu,
przestaję rozumieć robaki, które obłążą przejrzały owoc.

bagaż jest bez znaczenia. przecież wiesz,
liczy się właściwy kierunek. to gra w otwarte karty
o wysoką rozdzielczość wspomnień, o tę jedną ranę.

jaka perspektywa? zostają po nas wytarte łokciami biurka,
pliki tylko do odczytu, puste krzesła w poradniach.

spójrz, okno wypada z zawiasów. przeciąg wysyła sygnały

i nas w odległą próżnię. miesza pojęcia. idziemy boso.
w świat? wszędzie można oddychać, próbować

jeść z ziemi, kroić warzywa w rytmie salsy, po koleżeńsku
całować mulatki, bez skrepowania obejmować przyjaciela
na środku ulicy, budować dom z dymu i powidoków.

modlić się o powrót matadora do zdrowia, gwizdać
i nie dostać w łeb, obrzucać pomidorami, deptać winogrona,
kochać się z narzeczoną na balkonie, obudzić i wiedzieć:

słowo przenosi ciało, ciało przenosi nieswoje sny.

pocztówka 51. nadawca nieczytelny

ale buty? na listę wpisują się wrzosa Devon, poszarpane
brzegi Kornwalii i wyluzowane gołębie ze św. Marka.

Wiśniowa Góra zaklęta w pierścionku, sztachety i trawnik,
gdzie co dzień będą pasły się kosi, równie spokojne

jak twoja twarz. a to album zdjęć, do którego zajrzemy
po drodze. tyłem do kierunku jazdy, żeby było dobrze

widać przemijanie. jak na odłączonym obrazku.

bo *cerveza* to piękne słowo, a najlepiej brzmi,
gdy stukasz nim o szklanę, po kolana w wodzie,

a barman woła, że od Chicxulub dzieli cię jeszcze
tylko kilkaset kilometrów potu. pyta, dlaczego akurat tam.

przecież są inne miejsca, gdzie widać, ile mamy możliwości,
od kiedy meteoryt wyrzeźbił ten krater.

już dobrze. dal. słowo pisane nabiera
rozmachu. trzeba najpierw przejść się
po grudzie dnia. i dlatego buty.

pocztówka 149. adresat nieznany

te słowa nie dotrą do celu, bo nasze mieszkanie
wyprowadziło się z ciebie. bez dwóch zdań.
spakowało szpargały i tyle. smutne
obrazki poodpadały ze ścian jak noski z drzew.

porozrzucaliśmy się po kątach, po kontynentach
domów bliskich nieznanym. mamy, co chcieliśmy:
swoje zdanie w dziennikach, stłuczony termos
i widoki. niewywołane, zamknięte duchy.

chciałbym ci stąd wysłać jakiś wisiołek, bransoletkę
od starej indianki, która pali camele i obiecuje,
że z taką biżuterią zły nie opęta twojej rodziny.

myślisz czasem o naszym dziecku, zrodzonym
jedynie na papierze? o bosych stopach, nierozeznanych
w krajobrazie? czy słyszysz, jak teraz tupią?

gdziekolwiek rozbijam namiot, najpierw rozglądam się,
zasysam ciszę. wiem, że z drugiej strony mapy
robisz to samo, tylko tobie łatwiej nabrać powietrze.

dość hotelowa

tak więc strojenie kieszonkowych fortepianów. ćwiczę palce
na klawiaturze. po ekranie snują się niechciane wizje,
pochowane w tonacjach liter. mija następny pociąg, pusty

weekend i ćwiczenie siły woli. podaj mi instrukcję,
jak bezpiecznie wstać z łóżka. prawie słyszę twoje kpiny:
cieszysz się na mój powidok? spałem niewygodnie, drętwo.

nie umiem w kółko. nie znam hałasów, nie znam wody.

odległość mierzę zdaniami z nie. hamowanie pulsacyjne.
wziąć prysznic, spłukać, zdać klucz.

Dżonka 2007

Tomasz Pułka, *Rewers*, Wydawnictwo Mamiko, Nowa Ruda 2006

bez filtra

te hasła nie otwierają żadnych drzwi przeciwnie
zapalają zielony neon exit i trzeba wyjść
z siebie siebie nie rozumiem chciałbym pisać
szepem kobiecą mruczanką jakąś delikatną nutą
wieszać cię na czwartej linii od góry i zbierać
mak językiem pamiętasz jak to było drożały lizaki
wujek bawił się w złodzieja nie ufaliśmy piosenkom
edyty i książkom jerzego a teraz tylko mgły centymetr
igra z ogniem leci sobie w kulki taki jest plan

Wiersz o podglądaniu

zbyt wielu ludzi w tym mieście ma ciemne włosy,
to takie polskie. mieszkanie na trzecim piętrze,
drzwi pilnuje judasz, na klatce dzieci grają
w kapsle. w każdą noc przed losowaniem lotto
jest spakowany. czeka, albo pije ciepłą wódkę

jeszcze nigdy nic nie wygrał. potrafi za to
łamać chronologię dni, spluwać na przechodniów,
zasypiać na stojąco. tyle doświadczenia, a tak
kiepskie kwalifikacje. sąsiad to przynajmniej
pisze listy do prezydenta, ogląda obrady sejmu

wie co się dzieje na świecie. a tymczasem świat
jest schowany w paczce po klubowych, w gazecie
ze zdjęciem córki. młoda, zdolna pani doktor,
dobrze że ma się choć taką pociechę gdy jedyny
pewnik to palacz w kotłowni, bo telewizor kłamie.

czasem jest wieczór, a czasem pisze na okładkach
książek: dzisiaj nie widać już nawet samolotów,
kości Hanka są cienkie jak światło elektryczne,
mam gorzki oddech, szczekają psy.

kilka słów o mówieniu przez sen

To wyszło z rozmów i grudek ziemi między listami. Z problemów
ze znalezieniem pierwszego słowa. Powinno błyszczeć, a pachnie
jaśminem? Cóż - tyle dróg, a każda niewłaściwa, jak kierunki
wyznaczone przez krzyż wiszący nad łóżkiem. Performance znaków

tańczących na talerzu. I my po przeciwległych krańcach obrazu,
tak znikają wieczory. Mieszają się z farbą, ściekają wprost
w usta. Połknij, zapomnij, odwróć się na pięcie

nie wracaj do domu.

Didaskalia (rallentando)

Zmień obiektyw, trzeba będzie popatrzeć od spodu,
to nie jest takie proste, jakim mogłoby się zdawać,
gdybyś miał latawiec, a nie dwie małe rączki. Tam,
albo i tędy; kierunki nie są wytyczną drogi, najwyżej
podprowadzeniem pod temat, sentymentalnym
wydźwiękiem tamtej drużyny. Co z ciebie za odłamek,
skoro nie pamiętasz? Skoro dobrze wiesz, że mimo tej
ściany, wciąż gonimy cienie. Ty lubisz ruch, ja wcale
nie jestem wybredny, zniesmaczony, starczy porządna

parabola, parabellum, albo choćby złoty strzał
uśmiechem. Drastyczne prędkości przesuujące
przedmioty i jeszcze kilkadziesiąt zgrzebnych słów
na "p"; na przykład poziomka zamiast pistoletowej
kuli, roztańczone sztormy czyli zmysły drgają pod
wpływem przyływu zepsucia, uśmiechnięty rój

łyżeczek, weź jedną, wydlubiemy ci oko. To takie żarty, nie bój się, przecież nie będę gryzł, ledwie mogę zjeść jabłuszko. Ta gra będzie grą, jeśli postawisz mi obiad, a ja znajdę w rozkładzie pociągów jeden żywy organ.

szron

wychodzę jeśli wrócę to tylko przez judasza
nie wpuszczaj obcych jest tyle innych rzeczy
wartych uwagi na przykład twoje nogi założone
jedna na drugą gdy czekasz albo gdy się spieszysz
z zaśnięciem wiążąc usta jakby zamykając drzwi
więc nie bój się nie czekaj zostawię ci na blacie

zdjęcie tak wyraźne że przecina źrenicę i tylko
czarna plamka świeci wśród parujących wód
otoczonych włóknami z dojrzałych wczoraj
jabłek przenikając przez popsuty ekran
wyczarowuje głód. Metaforę smaku, szumiący

efekt śniegu. Jutro samo się naprawi.

zwykłym

Był taki dzień po którym ślizgaliśmy się jak ważki
po brzuchu Adrianie Sklenaříkovej (najdłuższe nogi
lub najdłuższa droga) Pytałaś mnie o moje fascynacje
urodą czeskich modelek które złocą się w pilsnerze
nie zważając na własne zdrowie Liczy się kompozycja
jaką osiągają chmury zaraz po zgaszeniu gwiazdy
co najmniej formatu Andrija Szewczenki Tak się topi
w słowach tak moczy się nogi w ujściu źrenicy gdzie

jadę wspomagać twój trzeci dzień bez znieczulenia

jest nadzieja że poprawi mu się zaraz po wniesieniu
kwiatów albo po zdjęciu zrobionym przez zagięty
łokieć Tu nie wolno palić listów bo woźna pilnuje
drzwi nadzoruje przepływ kurzu choć mamy marzec
dochodzący do perfekcji w przycinaniu palców i nic
z tego nie wiadomo bo wszyscy mówią i mówią a
przecież jutro będzie wtedy i tylko wtedy

piłaś ze mną czarną kawę a to potrafi przygasić
przestrzeń Zobacz: wabię przygodę krzyczę na rekiny
i wyjmuję ości z twoich warg brudząc pęsetę Wiesz
jak to jest gdy człowieka budzi krzyk Te nakłucia są
konieczne jak to że masz prześcieradło na biodrach

Drzesz się

Dżonka 2006

Joanna Wajs, *Sprzedawcy kieszonkowych lusterek*, Wydawnictwo Zielona Sowa,
Kraków 2004

władca węży / trzy wiersze

jest granica wyobraźni, za którą wszystko staje się
nieostre
na przykład zagłębienie na poduszce
ze śladem głowy ojca

nigdy nie widziałam, jak śpi
nie umiem sobie wyobrazić
jego włosów rozsypanych na kołdrze

jest granica wyobraźni, za którą wszystko staje się
mogę zobaczyć wszystko na poduszce w moim domu
ale nie głowę śpiącego ojca

mogę ci opisać wszystkie te miejsca
w których mnie z nim nie było
dom nad kanałem z uschniętym pnączem bluszczu
nad parapetem kuchni; zielony tynk i lwa na szczycie
z kikutem drewnianej łąpy

znam również szczegóły; wybrzuszenie w podłodze,
gdzie wylał kawę, ścięcie w obcasie buta,
wyżłobienie na schodach
oprawki okularów niemal boleśnie odcinają się
od ciemnego stołu; wszystko ma swój kontur
i wszystko rzuca cień
także ścieżka wydeptana w zbożu przez jeże
w letnie popołudnie; widział ją z pociągu jadącego przez Belgię
gdy odłożył Celana z wystrzępioną na brzegu zakładką

(siedzenie w przedziale z czerwonej błyszczącej ceraty,
słońce ukośnie podkreślało wersy)

słyszę też dźwięki; trzask gwałtownie zamykanych książek,
z których wytrząsał kurz
kroki na skrzypiącej podłodze odgłos palców
na klawiaturze sklejonej brązowym naciekiem
earl greya z cukrem

każdy rok w innym kraju; coraz więcej rachunków z pralni
i prześwietlonych zdjęć, utykanych między kartki
wciąż je znajduję w powieściach, które mi pożyczą
i mam coraz więcej miejsc do zaznaczenia w zapiskach
z jego podróży

czynię to uważnie; z wyzywającą precyzją,
milcząc o moich miejscach, dla których z roku na rok
nie znajduję czułości ani przyzwolenia
na to, że były
wciąż uzupełniam brakujące lata
naprawiam skażony rękopis

choć wiem, że dziś znów jak kiedyś
mój ojciec
oddałby władcy węży
co ma najcenniejszego

list od ojca, jedyny, jaki przyszedł,
jest jak list od Diabła Morskiego
nie można się go pozbyć
utopić, spalić, wyrzucić; zawsze cię odnajdzie
i gdy się budzisz rano, znowu leży obok
pachnący daleka żegluga i polami truskawek

domagał się ode mnie przez lata współudziału; pokątnie,

pokrętnie dawał do zrozumienia winę
budził nienawiść i miłość do otwartego morza
do statków, które wiozą niemożliwe ładunki
stosy niebieskich czereśni

zawsze, gdy myślałam, że mam to już za sobą,
jakiś zbłąkany ocean kładł mi go na progu

nie sposób nie usłuchać; choć wiesz, że to zasadzka,
znów wyruszysz, znów zabierzesz się w podróż
której jedynym celem
jest to, by on mógł się przyglądać
temu, jak ją odbywasz

władca węży; odrzuca starą, zbyt luźną skórę
i nade wszystko chce patrzeć
rachując bezbarwną źrenicą
co jeszcze mogłabym mu dać

dom z dzikim winem

wiele razy próbowałam odnaleźć ten dom
z dzikim winem od frontu i starą psią budą
przewróconą na bok
niekiedy nie było go wcale; czasem
udawało mi się go zastać podczas przygotowań
jeszcze bez ludzi i zwierząt

ale zwykle przychodzę za późno
kiedy w powietrzu zostaje tylko szorstki, ziarnisty zapach
z plamą światła i śpiącą w niej
jaszczurką

lekcja zasypiania

myją się bez pośpiechu
odślaniając co chwilę miękkie podniebienie

od czasu do czasu patrzą
niewidzącymi oczami
w przestrzeń
i wydaje się, że ona
odwzajemnia im się tym samym

mają do swoich ciał
ufną, niewyczerpaną czułość, całe jej pokłady
jeśli któryś jest chory lub stary, drżą mu łapy i głowa
z prostotą nam nieznaną liżą go po powiekach

dziś
staram się od nich uczyć
siadam naprzeciw
pozwalam, żeby zmyły ze mnie
całą tę dzikość; zgiełk i nieład
drapieżnego
serca

koty, i tylko one,
zapadają w sen jakby świat miał się skończyć nazajutrz
zasypiają niespiesznie, przykryte samymi sobą,
a opuszki ich łap dotykają się lekko

dzień miał się ku końcowi

szliśmy przez łąkę, dzień miał się ku końcowi
i ziemia drżała pod ciężarem lata,
byliśmy na zmianę bliscy i nieznani,
jak nigdy dotąd

przez chwilę patrzył na nas stary zając,
a kiedy zniknął w poruszonym zbożu,
zabrał ze sobą, co widział, cokolwiek to było,
suchy dym ognisk, grząską zieleni stawu,
i nas, jeśli ważni byliśmy choć tyle,
co mgły na polu

może już w jego oczach zatarł się ten obraz
– letnie popołudnie, dwoje ludzi, zboże –
a może będziemy przez wieczność przecinać tę łąkę
i nic się na podwójnym portrecie nie zmieni,
choćbyśmy chcieli

w lustrze

podczas letniej burzy spojrzeliśmy w lustro
i nagle poczuliśmy, że jesteśmy odbiciem,
barwnym, nietrwałym echem tamtych dwóch istot,
w zwierciadle

gdy to pojęliśmy, niczym w dłoniach iluzjonisty
przedmioty wokół zaczęły tracić swój ciężar

jaką, gdy lustro pokryje się śnieżką,
przyjmie kiedyś postać, czy równie barwną, nietrwałą?
jabłka czy biegnącego by je podnieść chłopca?

kot i szklane kule

wyniosłam kotu stary koc do ogrodu,
czuję, jak trąca nosem wewnątrz mojej dłoni
z rozważną poufałością, z milczącym namysłem

z domu dobiega kilka stłumionych głosów
matowych jak dźwięk toczonej po dywanie kuli
suche pędy życia; mogę niemal dostrzec,

jak źle jest ukorzenione, jak brak mu tajnych pokrewieństw,
sekretnych powiązań, oddania w opiekę
czulej uwadze zwierząt przychodzących pod okno

ojciec

ojciec z wyobraźni
ma ten sam powtarzalny ruch szczęką, co ojciec rzeczywisty
tak samo niecierpliwie potrząsa włosami
od lat biegnie przede mną z pochyloną głową
tak, że nie mogę zobaczyć jego twarzy

ten bieg trwa już długo, ile można, ojczy
kurier, co miał cię cofnąć, umarł ze starości,
a ja wciąż widzę przed sobą czerwoną czapkę lisa
twoje schylone, niestrudzone plecy

żaden z bogów nie chce zawinąć cię w obłok
zabrać na Taurydę,
gdzie mógłbyś przeczekać
dziesięcioletni rozlew naszej krwi

wiem, że by cię zatrzymać,
musiałabym sama przystanąć
na drodze, gdzie kurz zalepia nam usta,
a cień pada tylko w głąb ziemi

sprzedawca kieszonkowych lusterek

jak uderzają o siebie i okręcają się dźwięcząc
na jego piersi kieszonkowe lusterka
i jak on ich słucha schodząc w dół ulicy
gdzie wzbiera ciemność

sprzedaje zapalniczki, tabakierki z laki
wyświadcza przysługi zabłąkanym królom,

w ręcza każdemu owalne, matowe lusterka
blade jak jego źrenice, podobne do pustych wężowisk,
by zastąpiły im oczy

widziałam go tej nocy, minął mnie na rogu,
na jego dłoni błysnęła sucha wężowa skóra
każdy zasłonił się płaszczem i przyspieszył kroku,
jakbym już dała mu wszystko, nic o tym nie wiedząc

Dżonka 2005

Krzysztof Siwczyk, *Dziki dzieci*, Biuro Literackie, Bydgoszcz 1995

Nie zanoś dziewczyny Chrystusowi

Południe Dom towarowy wypchany po brzegi
jak wąż kończący połykać małego królika
Głośno Sprzedawca zakopiańskich kapci stoi
przed wejściem budynku i zaciera ręce
Patrzę Zaczynam szukać w kieszeniach swoich
wczorajszych dłoni które muskając migdałowe łopatki
uprowadziły trochę dziewczęcego ciepła
Przypominam sobie dłonie które zaniósł
w rynnach linii papilarnych – skradzione ciepło Chrystusowi
wiszącemu na krzyżu w przeciągu brzydkiego kościoła
W przestrzennej instalacji Jego żeber
wygadała się cała zapamiętana przeze mnie pieśczoła
Nagle dłonie spłoszone chłodem drewna i skóropodobnej farby
zapomniały ciepła dziewczyny Nagle
Półudnie Dom towarowy wypchany po brzegi
Sprzedawca zakopiańskich kapci zwija stoisko
Odnalazłem swoje puste ręce

Sobota wieczór – posypywanie piaskiem

„Potrzebuję czułych dłoni kobiet nie jego wiary”

Jerzy Suchanek: *Widokówka*

Jutro chciałbym zaparzyć Ci herbatę Lipton
kiedy siedząc na zimnym taborecie będziesz
przygryzać – przestraszoną Twoimi jedynkami – wykałaczkę
Jutro chciałbym wypłynąć daleko poza
czerwoną boję Twoich ust i utonąć cicho
w zmrużeniu zbyt piwnych oczu

Jutro chciałbym uprawiać filatelistykę
Twoich – zgaszonych w zamkniętym klaserze ramion – pieprzyków
których nie skancerował jeszcze żaden język

Dziś posypuję piaskiem oblodzony chodnik
którym jutro na zmiany kursować będzie tylko
szmelm rozwydrzonych dzieci i procesja samotnych matek
spieszących się do Boga

Dzikie dzieci

Jesień w kościele Jeszcze nie grzeją Zimno
Stoję przed krzyżem koloru zakalca
Wypłukane do żywego metalu – milionem dotyków –
stopy Chrystusa są zziębnięte jak poręczce
w porannych autobusach

Do kościoła wchodzi dwójka dzieci piszcząc
stropianem znalezionym obok sklepu meblowego
Kończą jeść słonecznik Zamykają pointą
jakiś brzydki kawał i cichną
zatrzymując się przed Chrystusem

Nagle dziewczynka z tłustymi włosami i
napuchniętymi węzłami chłonnymi podchodzi
do Chrystusa i zaczyna go łaskotać
w kierunku od pięt do najmniejszego palca
Chłopak melduje o wyrazie twarzy łaskotanego

Nie wiem dlaczego ale podchodzę do nich i
już razem łaskoczemy różnymi technikami
zmarzniętego Boga Odczekujemy chwilę i dalej
Postanowimy robić to tak długo
aż coś się zmieni

Czekamy nie mówiąc do siebie

Nasłuchujemy

Czekam

Nasłuchuję

4.04 – ciemno

Łukaszowi Napierale

...dzień będzie krótszy od najdłuższego...

nie zauważam już żadnej różnicy w długości

Za kratkami żaluzji te same nudne gwiazdy

jeszcze gżdżą się nad dachami wieżowców

Kołdra znowu wymknęła się z kokonu poszewki i

nie potrafię swoimi wciąż ciepłymi piętami

zobojętnić jej chłodu Cichy syk w radiu:

...polsko-austriacka spółka joint venture

instaluje w naszym mieście aparaty telefoniczne

na kartę magnetyczną... lecz to nie

zwiększy szansę na nawiązanie jakichkolwiek

nowych kontaktów Wszystkie rozmowy

szybko tracą sens i więdną jak drzewko szczęścia

którego kikut kurczy się na parapecie obok

łóżka Nie Teraz mocna kawa wietrzenie pokoju lub

krótki spacer po mieszkaniu – gówna dadzą

Czeka mnie zaraz reszta tego przerwane snu

w którym ktoś jak z wódki zerwał z ust Boga

szybkim ruchem ręki – banderolę milczenia

Mimo to On nie postawił żadnych spraw bardziej

jasno

Nadzieja – bez zaskoczeń

Maćkowi Meleckiemu

Po tej stronie bloku blade jak kalafior słońce
świeci na zimno Wieczny cień Szarą matę nieba
nakłuwają strzykawki anten Żadnych pisków Tylko
czasami jęk hamulców przed skrzyżowaniem
Dostawczy żuk z piekarni stoi na czerwonym
Zapach ciepłych chlebów i rogali na chwilę zapalił
pożądanie w ustach siedzących na przystanku

którzy jednak szybko bez zbędnych gestów zawodu
opuścili głowy Podjechał autobus z maseczką
pary na szybach Ruch na przystanku Nikt
nie wysiadał To jest pierwszy ranny postój Wchodzę
do środka z nadzieją odnalezienia na siedzeniach
resztek ciepła pasażerów ostatniego wczorajszego
kursu Siadam Kładę ręce pod uda

Pod dłońmi zimny skaj

Za oknem

Mokry świt Deszcz płacze się w pnączach piorunochronów
zwisających wzdłuż krawędzi bloków Na parkingu
opatulony w czarny topik garbus marznie
jedynie w wystające na zewnątrz zderzaki

Pomimo ciepłego mleka z miodem i grubego dresu
marzniesz Niepotrzebnie umyłeś wczoraj denaturatem meble
które teraz lśnią zimnem W tym pokoju już nie
zechce zagnieździć się żaden Bóg

Jakoś wszystko samo się zdezynfekowało jak
przed operacją która potwierdzi tylko fakt że nie

ma już co wycinać co uzupełniać co ratować

Czy wolno mi jeszcze skorzystać z telefonu?

Wykręcasz numer który kiedyś był numerem pewnym Cisza
Słyszysz tylko drapanie swojego twardego zarostu o słuchawkę

Dookoła coraz głośniejsze drapanie niczego